

Wszystko zaczęło się od żurnali - obcojęzycznych papierowych wrót do nieznanego świata, nęcących, śpiewających syrenie pieśni wrogów ustroju, dopełniaczy - wysyłanych w żywnościowych paczkach, upchniętych gdzieś, między czekoladą Toblerone a kawałkiem salami, między Szwajcarią a Bawarią, spływającymi kwiatowymi girlandami, wonnymi, co wieczór reklamowanymi w radiu Wolna Europa surogatami normalności. Żurnale - dla nas - stłoczonych w babcinym kuchennym centrum wszechświata - odpakowujących pocztowe niespodzianki - były niczym zapach kadzidła wieńczący każde majowe nabożeństwo, nieodzowne i oczywiste. Co miesiąc, niemal o tej samej porze, listonosz namaszczał któregoś z nas na celebranta owej mszy, mistrza rozpakowywania, eksplorowania, a to wszystko dzięki babcinej kuzynce, emerytowanej austrowęgierskiej markietance, która, w zamian za bohaterskie zaliczenie bojowego szlaku armii Jego Wysokości Franza Josefa otrzymała onegdaj dożywotnią rentę i eleganckie mieszkanie w samym centrum Wiednia, któregoś dnia zaczęła więc - najsamprzód wyprzedzając wypas liściki, pachnące fiołkami, zakodowane surową germańszczyzną, którą jedynie babcia potrafiła odcyfrować, a następnie - "pakety" - kilkunastokilogramowe, wypełnione po brzegi wszelkim dobrem wiadomości z innego świata. W krok za objuczonym kurierem, podążał zazwyczaj Przybyłek, a po jego śladach - pozostałe, zawiścią zwężone sąsiedzkie źrenice, złowieszcze, zazdrośnie lustrując każde wybrzuszenie kartonowego sezamu. Ów szczęśliwiec, który akurat tego dnia pełnił dyżur przy drzwiach, zgodnie z rodzinną tradycją, miał prawo odpakowania skarbnicy, ba, miał prawo zawłaszczenia jednego produktu - bez konieczności dzielenia się z innymi. Kakao. Biała czekolada. Rodzynki. Tak, to właśnie rodzynki - kilkunastomilimetrowe odpryski meteorytu, zakrzywiającego czasoprzestrzeń gdzieś w odległych galaktykach, miligramowe cuda natury, wprowadzały do domu prawdziwy pokój i zbawienie, bo jeśli naprawdę wówczas Bóg jeszcze istniał (dziś już nie mam wątpliwości co do tego, że Go nie ma) - rozkładał swoje duchowe jestestwo, zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa, równomiernie, na każde z pomarszczonych ziarenek. Czasem, na samym dnie opancerzonego samoprzylepną taśmą kartonu, zwinięte w kłębek, oczekiwały szczęśliwego odkrywcy - spodnie, dzinsy - den Erflog Auszeichnen - najpośledniejsza przyczyna wszelkiej tubylczej zazdrości. Zazdrości powszechnej i usprawiedliwionej samotnością miejskiego PEWEX - u.

Brzydkiemu, grubemu bachorowi, tylko raz udało mi się wyhaczyć pasującego na mnie tkaninowego fanta - białe - brązową koszulkę z odpinanym stójkowym kołnierzem - cudo techniki i dizajnerstwa - odzienie, którego nie powstydziliby się nawet Simon Le Bon, najwspanialszy ze wspaniałych, kosmiczny idol, spuszczały z nieba na linie, co sobotę, w kolejnych odsłonach trójkowej listy niedźwiedzkiej. Wdzianko to, rzecz jasna dnia następnego zaciągnąłem na siebie do szkoły, uprzednio podreperowałem facjatę mamusiowym kremem i wypaliwszy rodzimą Niveą pozbawione jeszcze włosów pachy. Byłem wielki.

I tak, paczki przychodziły, co miesiąc, regularnie wywołując triumfalne okrzyki i wzbudzając sąsiedzką zazdrość, wpadającą do babcinej kuchni w poszukiwaniu niby to odrobiny soli, a tak naprawdę - dokładnie lustrującą ranty stojących na stole kartonów (jak gdyby wzrokiem można było zachachmycić cośkolwiek z tego, co pozbawiony duszy zgniły Zachód przemycił do krainy robotniczo - chłopskiej szczęśliwości). Pewnie i przyszłyby następne, po nich kolejne i jeszcze inne, ale, zrzędzeniem losu, w jeden zimowy wieczór cały ten misterny aprowizacyjny plan szlag trafił, na ulicy, tuż pod babcinym oknem pojawił się czołg, a odgłosy żołnierskich komend nie pozostawiały złudzenia co do tego, że za

chwile, w poszukiwaniu resztek wymemłanych rodziny, wejdą do domu żołdacy. Owszem, weszli w końcu, ale nie żołdacy, tylko panowie w ciemnych ubraniach, trzech ich było, wysokimi oszronionymi czołami świecili niczym święci pańscy, poszarpali dziadkowi marynarkę, ojcu kazali siedzieć w sypialni, mamusię zabrali i tyle ich widzieliśmy. Następnego dnia rano, tato wepchnął mnie do jaskrawozielonego rodzicielskiego Trabanta i wywiózł daleko, jak powiedział: tam, gdzie cię nikt nie znajdzie.

Nigdy nie przestałem myśleć o tym, czy owi świetlani apostołowie z takim samym zapalem postrzępiliby dziadkową marynarkę, gdyby wiedzieli, że niespełna rok później, babcia, ze łzami w oczach sztrykować będzie jej, złożoną już w trumnie podszewkę, nie zapytałem nikogo, czy, gdyby zlitowali się tego wieczora nad płaczącym tatą, nie musiałby iść na operację żółciowego woreczka.

- Za dużo żółci się nazbierało przez ten czas - powiedziała babcia, gdy ojciec wsiadał do karetki, w nieznane.

Zoperował go doktor Stach, podobno jedynie w zamian za butelkę wódki, w tym czasie - ludzie mówili - chlał już na umór, nie trzeźwiał, stan swój określając mianem solidarnościowego strajku, który w rzeczywistości strajkiem nie był, wiedziałem, bo mama też strajkowała, a przecież nie piła wcale. Należała do związku, tato zaś - do partii - wszyscy mu się kłaniali, zdejmowali paltoty na ulicy, rzucali uśmiechy, a uśmiechami tymi niepośrednio obdarzali również, uczeponą jego boku mamę, właściwie to do niej się uśmiechali, ona była bohaterką, ale o tym nikt nie mówił, nie śmiał powiedzieć. Ja zaś - zafascynowany żurnalami podlotek, z pasją zagłębiający się w doskonałości modelowych uśmiechów, opuszkami palców miareczkujący przyjemną gładkość napisu Quelle, niezgrabnie zagląający w dekolty roześmianych papierowych anielic - nie zwracałem uwagi na, gdzieniegdzie, wtrącone, brutalnie wepchnięte pomiędzy Unterwasche a Handtucher zszarzałe fiszki z napisami Katyń lub Wałęsa.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

dr_brunet, dodano 01.07.2012 20:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.